DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 12 z r. 1908.

Marya Mazurkówna.

Zdziczałe koty.

Nie każdemu znanem jest zjawisko, iż nasze domowe koty, te miłe, lube, obleśne koteczki dziczeją niekiedy zupełnie, zdradzają instynkta innych najdzikszych drapieżców i uciekają na widok człowieka. — Oryginalny i śmieszny miałam w tym kierunku wypadek w mem życiu.

Przed paru laty, przebywałam miesięcy kilka na wsi w Samborskiem, mieszkając w starym budynku dworskim — pełnym jakichś oryginalnych przybudówek, ciemnych sieni, dziwnych skrytek, od dawna zamkniętych i ku ruinie się chylących niektórych pokoji — całość jednem słowem dziwnie tajemnicza, nieokreślony szacunek i coś jakby trwogę a pokorę przed bajecznością przeszłych nad nią dziejów wzbudzająca — istny fragment z ciekawych historyi „Tysiąca i jednej nocy". Wokół ogrody, kwiaty, drzewa — wszędy cisza, spokój i milczenie.

Mieszkałam sama ze służącą. Po pierwszych jednak dniach zaczęły dziać się nocą dziwne jakieś rzeczy na strychu. Trzask, stuk, huk, szamotanie budziło mnie i moją Kasię z najgłębszego snu, zmuszało do oświecenia mieszkania i spędzania paru godzin w niemiłem dla mnie — a dla mojej Kasi wprost strasznem czuwaniu.

Ileż to wtedy, podczas tych bezsennych nocy nasłuchałam się bajek opowieści i bredni, które strachem wypędzona z kuchni służąca, przybiegłszy do mnie opowiadała — ile historyi o duchach, dyabłach i czarownicach, które w tym domu zapewne przebywać muszą, kiedy aż takie harce po nocach wyprawiać potrafią. Na nic były wszystkie moje tłumaczenia i przedstawiania — bo gdy za oknami w przepaścistych mrokach nocy jęczał wicher jesienny i deszczu zimnemi kroplami ni to żałosnym płaczem grał na szybach — ponad nami na

milczącym kiedyindziej strychu budziło się rzeczywiście jakieś głośne, dziwne, hałaśliwe życie. Z brzaskiem dnia dopiero nastawał spokój — bo i duchy już wtedy — jak mówiła Kasia — „tracą moc swoją“.

Postanowiłam zbadać w najbliższych dniach tajemniczy strych i przekonać się o powodach orgii i hałasów nocnych. Służąca moja tymczasem głosiła już po wsi o zaklętych duchach, straszydłach, dyabłach i czarownicach, nie dających nam spać w nocy — chcących nas zapewne porwać żywcem do piekła i męczyć. Niewiasty wiejskie nie miały nic lepszego do roboty, jak wierzyć, żegnać się, potakiwać głowami i wymyślać, każda na swój sposób, rady i środki przeciw mocy „złego“. Uradziły nareszcie zebrać się w kilka osób, uzbroić w kropidło i święconą wodę, zaprosić odważnego i silnego mężczyznę na towarzysza i przewodnika — i z tak zorganizowaną wyprawą ruszyć któregoś południa — lud wierzy, iż „Zły“ ma moc we dnie w południowej porze — na tajemniczy strych.

Komizmu owej chwili, powagi a zarazem trwogi malującej się na twarzach tych ludzi, oraz wiary ich w skuteczność obmyślanych środków — nie zapomnę nigdy!

Wyprawa wreszcie uszykowana. Przewodniczy młody służący Klimek, który mimo zaleceń, ostrzeżeń a nawet pogróżek, kropidła i wody nieść nie chce. Powiada, iż w wyprawie tej „musi mieć wolne ręce“. Baby patrzą nań ze zgrozą i postanawiają same tuż za nieoględnym nieść „święconą“. Wyprawa znajduje się nareszcie pode drzwiami strychu. Chcąc „strach ułapić“, Klimek nakazuje zupełną ciszę — czeka chwilę, jakby zbierał się w sobie — naraz całą siłą mocnych, młodych bark podnosi ciężkie drzwi, odrzuca na bok i — nagle z okrzykiem „aaa“ przepada w głębi. Baby pewne, iż nastąpiło porwanie Klimka, zaczynają machać bez litości kropidłem, lecz w odwrotnym kierunku, bo zamiast wnętrze strychu i biednego Klimka — uciekając jedna przed drugą, kropią siebie, schody i sień. Wybiegam tedy sama na strych — i widzę, jak wśród największego nieporządku, mnóstwa porozrzucanych rupieci, stosów papieru, ksiąg, gazet — starych mebli, dywanów, szmat i żelaziwa, szamoce się z czemś Klimek, nizko pochylony w kącie. W końcu po pewnej chwili podnosi się, niesie ku mnie coś drobnego, omotanego w szmaty i pokazuje — młodego, zdziczałego kota — opowiadając przytem, iż za otwarciem

drzwi ze sześć sztuk ich uciekło, kryjąc się po dziurach. Pobiegł za najbliższem, daremnie starając się je uchwycić w dłonie, pazurami bowiem zbyt dotkliwie broniło się, kalecząc i okrwawiając mu ręce. Dopiero gdy szybko je przykrył leżącym obok gałganem, był w stanie wziąć do ręki i znieść na dół. Zdziwieniu i rozczarowaniu wśród kobiet nie było końca. Trudno też i niechętnie pojąć w końcu zechciały, iż bezdomna zdziczała kocica, zamieszkała na tym opuszczonym, nigdy nie odwiedzanym strychu, wychowywała tam młode, ucząc je łapania myszy i urządzając, zwłaszcza po nocach, właściwe młodym kotom zabawy — sprawiające ów tajemniczy hałas i stuk. A zatem sprawa wyjaśniona, zaklęte duchy pokonane — Klimek tryumfuje, iż bez pomocy kropidła dokonał dzieła.

Młodego kotka chciałam wziąść na wychowanie. Ale tak zdziczałego zwierzątka nigdy później w życiu nie widziałam. Drapało i skakało za lada zbliżeniem się czyjemś — uciekało pod sprzęty, chowało się za piec, znikąd ruszyć się nie dając. Pożywienia, ni mleka nie tknęło i tylko dziko a bystro każdy ruch ludzki obserwując, upatrywało chwili stosownej do ucieczki, której mu w końcu, zniechęcona już daremnemi z mej strony wysiłkami, nie broniłam. Powróciło zapewne do rodziny, z którą nadal wesoło a głośno spędzało noce ponad głowami naszemi — podczas gdy ja i Kasia nietylko żeśmy się już nie bały, ale najgłośniejsze nawet objawy pokuty zaklętych duchów — opętane igraszki dyabłów i czarownic — nie były w stanie zamącić nam lub przerwać odtąd snu błogiego.

Józef Białynia-Chołodecki

Więzienie ptasząt.

Więzienie naszych krajowych ptasząt w klatkach jest wielkiem dla nich cierpieniem. Kanarek impoitowany do nas z wysp kanaryjskich przed 300 mniej więcéj laty, w ojczyźnie swej barwy zielonawej, zbladły z powodu braku światła w niewoli, a podlegający dla braku ruchu i świeżego powietrza, często apopleksyi, niema innego wyjścia jak dalszą niewolę w klatce gdyż ginie u uas na wolności marnie; papugi i inne egzotyczne ptaki i ptaszki muszą z konieczności podzielać losy kanarków. Odmiennie ma się atoli rzecz z naszymi krajowymi śpiewakami,

którzy jako tubylcy w naszym klimacie tylko na wolności czują się szczęśliwymi. — Sam miałem raz w życiu mem dowodny tego przykład. — Byłem wówczas abitureyntem, czy też słuchaczem praw (roku nie pamiętam) i mieszkałem w lwowskim klasztorze OO. Dominikanów, gdy przyszła mi myśl, a raczej fantazya, ozdobić moją celę gromadą ptaszków. Nie istniała wówczas jeszcze ustawa o ochronie ptactwa, nie działało Towarzystwo ochrony zwierząt, to też cały zastęp pauprów ulicznych, łobuzów, nicponiów, czerpał z handlu ptaszętami niezgorsze dochody. A łatwo przychodził on do swych zdobyczy, gdyż potrzebował tylko zlepić samotrzask, poszczepiać sidełka i postarać się o trochę ziarna na przynętę, a że tam przy obławie ptasząt wykręcały i łamały biedne stworzonka nóżki i skrzydełka, cóż to obchodziło nielitościwych włóczęgów. Samo wyjmowanie kupionych ptasząt z klatek i wręczanie ich nabywcom było zresztą równocześnie początkiem ich śmierci, gdyż ptasznicy umyślnie zgniatali w umiejętny sposób i kaleczyli wewnętrzne organa ptaszków, aby spowodować ich rychły skon i am torowi módz nowego dostarczyć towaru. Zrazu trzepotało się takie pogniecione ptaszę pod wpływem strachu w klatce i skakało po szczebelkach, niebawem smutniało atoli, opadało z sił, ginęło w oczach. Aby temu zapobiedz zastrzegali sobie nabywcy sami prawo wyjmowania ptaszków z klatek, — co jednak nie było w guście handlarzy, którzy trzymali się w takich razach w cenie.

Lecz wróćmy do rzeczy.

W ciągu kilku dni ożywiło się mieszkanie moje zbiorkiem klatek, w których mieściły się w miłej zgodzie i harmonii szczygły, czyżyki, makolągwy, sikorki etc., a nie brakło i poważnego gila. Chodziłem skrzętnie około mych towarzyszów, nie żałowałem im jedzenia, nie zaniedbywałem zmieniać często wody i oczyszczać ich domki, a w wolnych od nauki chwilach przypatrywałem się z zadowoleniem ich pląsom po szczebelkach.

— Jak dobrze tym ptaszkom pod moją opieką — myślałem sobie nieraz, gdy hulała śnieżyca na dworze, a mrozy doskwierały do żywego.

Tak przeszła zima...

Pewnego wiosennego dnia, wchodzę do swej celi i staję zdziwiony na środku pokoju. Cóż to za niepokój wśród moich przyjaciół? Biją piersiami o szczeble klatek, ćwierkają żałosnym

głosem.. błagają pomocy, rwą się do wolności, a na ich ciasne domki spływają ożywcze promienie jasnego słoneczka.

Pojąłem, zrozumiałem o co się tym biedakom rozchodziło, odczułem ich niewolę.

— „Czekajcie“ — pomyślałem — „wrócę wam swobodę“ i przystąpiłem do czynu. Brałem jedną klatkę po drugiej, otwierałem drzwiczki i patrzyłem jak ptaki wyskakiwały na próg swego domku, obracały się tutaj w skoku parę razy i pomykały czem rychlej, na przeciwległe dachy. Najdłużej namyślać się zaczął gil, lecz i on przeniósł swobodę, nad wygodę w klatce.

Jakżeż miłe uczucie spełnionego dobrego czynu, ogartywało duszę mą w dniu owym i w dniach następnych!

Męczące obroże.

Przed kilku dniami byli przechodnie ulicy Zyblikiewicza we Lwowie świadkami wstrętnego widoku.

Oto chłopak od rakarza prowadził psa, zdaje się, łańcuchowego, który na szyji w miejscu, gdzie obroża, miał jedną na okół ranę krwią uciekającą. Stójkowy nr. 187 skonstatował, iż właścicielem psa jest właściciel realności przy ulicy Dwernickiego l. 10.

Wypadek ten zachęca nas do przedrukowania z warszawskiego „Przyjaciela Zwierząt“ pouczającego artykułu pióra M. P.

„Znany wiersz z bajki o nieszczęśliwym zającu, którego psy zjadły wśród życzliwych przyjaciół, możnaby z powodzeniem zastosować do psów, które przez niepraktyczność, niedbalstwo i brak zastanowienia swych panów, cierpią niejednokrotnie istne męczarnie, pomimo iż panom tym się zdaje, iż wystarcza psom dać czekoladki i puchową poduszkę, aby się dobrze czuły i nie narzekały.

Jednem właśnie z objawów tego, nagany godnego niedbalstwa, jest nakładanie psom obróż tego rodzaju, jaki dotychczas wszędzie prawie z małymi zaledwie wyjątkami jest używany. Obroże te „de jure“ służyć mają jako środek pomocniczy przy uwiązywaniu psa na łańcuszku lub rzemyku, oraz jako miejsce, do którego najwygodniej jest przymocować tabliczki z numerem; „de facto“ natomiast obroże te są tylko jako

upiększenie używane, i co za tem idzie, właściciela więcej obchodzi pytanie, czy obroża jest ładna, niż czy psu w niej wygodnie.

Obroże są zwykle zaciasno zapinane, a to z obawy aby pies łapami ich z szyji nie zrzucił. Niechęć psa do tego „stroju“ łatwo się tłumaczy właśnie przez tę okoliczność, że obroża psa dusi. Gdy jeszcze psa uwiążą na postronku i bądź prowadzą, bądź też skażą go na przymusowy odpoczynek w budzie, to za każdym ruchem, za każdem szarpnięciem obroża poprostu psa dusi i tamuje odpływ krwi z głowy.

Psy miejskie, będące zabaweczką, czemś w rodzaju breloczka u dewizki, są zazwyczaj mniej na to duszenie się narażane, gdyż wogóle cieszą się wielkimi względami swych właścicieli. Natomiast psy wiejskie, szczególnie łańcuchowe, prawie bez wyjątku skazane są na potworne tortury. Gdyby taki pies potrafił jako tako porozumieć się z człowiekiem, to napewno powiedziałby: „Nie wiem czego się mam trzymać: jeśli nie będę szczekał — to mię albo wygonią precz, albo zabiją; jeżli zaś będę szczekał i rzucał się na obcych to mi nałożą obrożą i przykują do łańcucha, więc będe się dusił i męczył za każdem poruszeniem“.

I będzie miał pies najzupełszą słuszność! W dodatku pamiętać należy, że psy będące na uwięzi są daleko zajadlejsze, niż psy biegające na wolności. Pies łańcuchowy za lada powodem rzuca się i szczeka; obroża uciska mu gardło, tamuje oddech i swobodne krążenie krwi, powoduje nieznośny ból i choroby. A to tem więcej, że, powtarzamy, prawie zawsze obroża jest zapięta za ciasno.

Aby tedy pogodzić wymagania człowieka z potrzebą psa, należy zupełnie zarzucić obroże, a natomiast rozpowszechnić używanie szlejek rzemiennych w które w miastach ubierają mopsiki i foksterjery. Szlejki te kosztują nie więcej nad pół rubla, są mocne — surowcowe, obejmują szczelnie łopatki i klatkę piersiową psa, który w żaden sposób zrzucić ich nie może, nie duszą go, a kółko przyszyte na górnym poprzecznym pasku szlejki pozwala na założenie karabinka od rzemyka lub łańcuszka. Przy najsilniejszem szarpaniu pies nie doznaje bolu, oddycha zupełnie swobodnie, przełyka również bez przeszkody i nie rujnuje sobie zdrowia, które z całem zaparciem się siebie człowiekowi poświęcił.

Różne wiadomości.

Pies w służbie policyjnej. Jak wytrwałymi są psy w służbie policyjnej dowodzi fakt, że głośny w Londynie pies policyjny „Czar" przez cztery noce był w pościgu za mordercą pewnej dziewczynki, nazwiskiem Kirby. Psa przyprowadzono na miejsce zbrodni, gdzie wpadł na trop zbrodniarza i puścił się jego śladem. Za psem poszła grupa detektywow i sprawozdawców pism. Pies szedł różnemi krętemi ścieżkami, różnemi dzielnicami, podwórzami i zapadłymi kątami, a miejscami biegł pędem; ponieważ trzymano go na lince, towarzyszący mu ludzie musieli też biedz. Ten pościg trwał całą noc; nad ranem zaprzestano go, a wieczorem znowu podjęto. Powtarzało się to przez trzy noce. Nocy czwartej pościg przybrał niespodziewany obrót: pies doprowadził detektywów do dworca kolejowego, z czego wywnioskowano, że zbrodniarz wyjechał do najbliższej stacyi. Udano się tam i pies znowu wpadł na trop, który zaprowadził go do kasy kolejowej i z powrotem do wyjścia do pociągu, gdzie trop się znowu skończył. Ponieważ właśnie poprzednio odszedł stamtąd pociąg do Birmingham, detektywi wraz z psem udali się tam na dalsze poszukiwania.

Przeciw dręczeniu zwierząt. Wiedeńskie Towarzystwo ochrony zwierząt przedłożyło Izbie poselskiej za pośrednictwem dep. Peschki projekt ustawy przeciw dręczeniu zwierząt. W myśl tego projektu rozmyślne dręczenie zwierząt ma być na przyszłość ścigane nie przez policyę — jak dotąd — ale przez sądy karne jako przekroczenie, w cięższych wypadkach nawet jako występek. Ponieważ projekt ustawy wszedł na porządek dzienny obrad parlamentarnych, wydział Towarzystwa ochrony zwierząt nawiązał rokowania z dep. Sylwestrem, który przyrzekł zająć się tą sprawą. Aż do czasu uchwalenia ustawy przez parlament, dążyć będzie Towarzystwo, by w wypadkach dręczenia zwierząt wzbudzających zgorszenie publiczne, wkraczać mogły władze polityczne, nie tylko policya Dr. Sylwester okazał gotowość przedłożenia projektu już na najbliższej sesyi parlamentarnej

Końska wierność. Belgijskie czasopismo sportowe „Le Sport Belge" dowiaduje się historyi o dwóch koniach wyścigowych, wycofanych z toru, która zasługuje na rozpowszechnienie.

Stadnina znajdująca się niedaleko Tervueren, przedmieścia Brukseli, posiadała konia „Mazawattee“, który niegdyś widział dnie sławy. Postawiono go w osobnej przegrodzie, aby w spokoju dokończył dni swoich. Wkrótce potem musiano wycofać z toru i drugiego konia „Fantome“, postanowiono więc obydwa konie umieścić razem

Natychmiast między dwoma wyścigowcami zawiązała się szczera przyjaźń; konie dzieliły między sobą owies, a zdawało się, iż opowiadają sobie o dniach minionej sławy i lepszych czasach. Końskiej tej idylli nie przerywało nic przez lato i jesień, a żokeje, trenerzy i chłopcy stajenni bawili się doskonale końskiemi czułościami.

Ale wszelka wspaniałość na ziemi jest znikoma i nawet największa przyjaźń musi się pewnego dnia skończyć. Tak i tu się stało.

Pewnego dnia „Mazawattee“ zaczął niedomagać i mimo starannego pielęgnowania po kilku tygodniach ciężkich cierpień przejechał się na drugi świat. Na „Fantome“ śmierć przyjaciela wywarła wielkie wrażenie, wziął ją sobie bardzo do serca. Rzucił się na zwłoki „Mazawattee“ i nie można go było od nich oderwać. A gdy wreszcie zdechłego konia włożono na wózek, aby go zakopać w polu, spostrzeżono nagle pędzącego przez pole „Fantoma“, który przygalopował, aby przyjacielowi oddać ostatnią posługę.

— „Stajenni — dodaje „Le Sport Belge“ — mieli łzy w oczach, patrząc na to“.

Tak kończy czasopismo swoją historyę wzruszającą, która, jak zapewnia, jest prawdziwą i istotnie wydarzyla się w Tervueren.

Sprostowanie

W Nrze 11. Miesięcznika pagina 161 wiersz 5 z dołu zamiast 1904 czytaj 1894, — pagina 162 wiersz 15 z góry zamiast 1903 czytaj 1893.